

Napisał
dr Janusz Ziolkowski
konsultant ekonomiczny
MTP

NOWY SWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 2 XII 1956
Rok VII Numer 47

Targi Poznańskie – sprawą Poznania

Pośród wielu ujemnych zjawisk, które przyniosł Poznań, niestety nie tracąc lokalną inicjatywę i marnotrawiąc dobrą i zdolność ludzką — centralistyczny system gospodarowania, nie na ostatnim miejscu stoi zepchnięcie Targów Poznańskich, a ściślej mówiąc udziału w nich środowiska poznańskiego, do zgoła podrzędnej roli. Nie chcemy



Fragment hali MTP przy ulicy Głogowskiej
Fot.: Marian Mielcarski

wracać z uporem do wytykania błędów przeszłości, choć zaiste trudno zapomnieć o 5-letniej przerwie w organizowaniu imprezy, która wyrządziła sprawie Targów niepowetowane

Poznańskich i wywołać dalsze głosy na ten temat.

Na pozór nic nie uprawnia do pesymizmu. Targi są reaktywowane, wykazują się stałym rozrostem ogólnego obsza-

ru i powierzchni ekspozycyjnej, osiągnęły ostatnio rekord wystawców zagranicznych i, co najważniejsze — był ich już ustabilizowany, rząd bowiem podjął decyzję o stałym, corocznym ich odbywaniu się. Instytucja Targów Poznańskich posiada jednak organiczną wadę, polegającą na tym, iż w odniesieniu do organizacji MTP obowiązuje ciągle jeszcze niegospodarny, centralistyczny model.

Rzecz się pokrótce przedstawia następująco: Istniejący w Poznaniu Zarząd MTP, ograniczony został do funkcji czysto technicznych, wykonawczych, cała zaś koncepcja ekonomiczna, myśl organizacyjna, cała strona propagandowa, akwizycja wystawców itd., skoncentrowana jest w Warszawie, w Polskiej Izbie Handlu Zagranicznego. Pomijam fakt, że aparat działu targowego PIHZ jest niesłychanie rozbudowany, a co za tym idzie, kosztowny, mało elastyczny i ociężały w wydawaniu decyzji. Ważniejsze jest, iż zasadę organizowania MTP oparto na całkowicie błędnym założeniu, iż o imprezie targowej w Poznaniu może i powinien decydować — często w najdrobniejszych szczegółach — instytucja centralna, mająca siedzibę w Warszawie.

Tymczasem jesteśmy świadkami, iż punkt ciężkości imprezy już na wiele miesięcy przed Targami przenosi się spontanicznie do Poznania, zaś personel PIHZ zmuszony jest przyznać, iż nie o wszystkim można decydować z wyżyn warszawskiego Olimpu. Nie może zresztą być inaczej. Sama logika i celowość działania narzuca zestrojenie całej twórczości targowej, a więc zamierzenia i wykonania, w miejscu odbywania się imprezy. Podobnie oceniają to wystawcy zagraniczni, dla których wszystkie sprawy związane z Targami w sposób naturalny kojarzą się z Poznaniem; od Zarządu MTP oczekują oni — nie wchodząc

w zawilości naszego systemu wystawiennictwa — różnych decyzji i działań.

Czy krytyka ta ma oznaczać negację nadrzędnej, koordynującej roli PIHZ czy samego resortu? Bynajmniej. W Polsce istnieje monopol handlu zagranicznego, stąd też rolę organu centralnego będzie zawsze ustalanie ogólnej polityki targowej, sprawowanie najbardziej generalnie pojętej koordynacji i nadzoru nad imprezą. Nie ma jednak żadnych logicznych przesłanek do twierdzenia, iż propagandy imprezy, akwizycji wystawców, analizy efektywności ekonomicznej nie można przeprowadzać w Zarządzie MTP w Poznaniu, że powołane są do tego jedynie organy centralne. Obojętne, jakie by tu przytaczano racje, u ich podłoża zawsze będzie leżała obawa utraty szerokiej sfery dyspozycji, brak zaufania do zdolności twórczego myślenia i działania „provincji”, albo jak to się ostatnio mówi — „terenu”.

Zwolennikom „absolutyzmu oświeconego” warto przypomnieć, że Targi Poznańskie powołane zostały do życia i inicjatywą miejscowego środowiska, że wyłącznie w oparciu o myśl twórczą, upór i zdolności organizacji poznańskiego środowiska osiągnęły rangę jednych z największych imprez targowych w Europie. Warto przypomnieć ożywiającą działalność Targów na forum międzynarodowym (stałe członkostwo w Zarządzie UFI) oraz wytrwałe i uwieńczone sukcesem zabiegi o uczynienie z Targów Poznańskich regulatora wewnętrznego rynku hurtowego, instrumentu i wykładnika polskiej polityki handlu zagranicznego, przekroju wreszcie całego gospodarstwa narodowego Polski przedwzrostowej. Dowodem tego jest istnienie i wybitna aktywność powołanej z inicjatywy MTP, Rady Interesów Targowych, największego zrzeszenia związków gospodarczych Polski kapitalistycznej. A przy tych wszystkich rozlicznych korzyściach, jakie przynosiły gospodarce na rodowej, nie stanowiły one by najmniej obciążenia dla budżetu. Wręcz przeciwnie, były przedsięwzięciem dochodowym (w roku 1937 odprowadziły do kasy miejskiej około 120.000 zł czystego zysku).

Targi Poznańskie są instytucją związaną nierozłącznie z Poznaniem, do roku 1950 były przedsiębiorstwem miejskim, w poznańskiej glebie tkwią ich mocne korzenie. Dla ich dalszego rozwoju konieczne jest jednak, by w łonie społeczeństwa Poznańskie rozwinęła się żywa dyskusja na temat ich roli w gospodarce narodowej, struktury organizacyjnej i zakresu działania, wyrazu urbanistyczno-architektonicznego i dalszej rozbudowy. Jest rzeczą, nie podlegającą chyba już obecnie żadnej dyskusji, iż uprawnienia Zarządu MTP powinny ulec znacznemu poszerzeniu i pogłębieniu. Pozostając częścią składową ogólnopolskiego systemu handlu zagranicznego, Zarząd MTP korzystałby tylko z najogólniejszych wytycznych władz centralnych, zachowując dla siebie podstawowe funkcje ekonomiczne, organizacyjne, propagandowe, akwizycyjne i techniczne, podobnie jak to było do roku 1950.

W chwili obecnej, w ramach wielkiej odnowy życia gospodarczego kraju, toczy się batalia o najbardziej racjonalny i korzystny dla gospodarki narodowej charakter polskiego handlu zagranicznego. Waży się również losy Targów. Nie może przy tym zabraknąć głosu społeczeństwa poznańskiego. Rola i znaczenie Targów Poznańskich, acz zasięg ich wykracza nie tylko poza granice miasta, ale i kraju, jest sprawą przede wszystkim Poznania.



Rok 1956
Rys.: Ludomir Kapczyński

NASZ felieton

Nie będziemy się zagłębiać w dociekania, czy ludzie, których nazwiska związane są z zagadnieniem historycznej odpowiedzialności za okres skrepowania myśli, uczuć i woli, znali dzieje jednego z następców Proroka i fanatycznego obrońcy czystości wiary — kalifa Omara. Mogli dziejów tego bogobojnego męża nie znać. Bo przecież człowiek nie może wiedzieć wszystkiego i nie można od niego wymagać, by pod utratą zbawienia zobowiązał się znać swoich poprzedników w pokrewieństwie myśli i ducha.

Jak szewc z Efezu wszedł do historii spalaniem jednego z cudów świata starożytnego — świątyni Artemidy, tak kalif Omar związał swoje imię z pożarem, który strawił



H. Derwich

uwiecznione na pergaminie dzieje myśli ludzkiej i kultury, obracając w perzynę jedną z świątyni nauki dawnego świata — Bibliotekę Aleksandryjską.

Kalif Omar dokonał swego dzieła z pobudek prostych, jako obrońca istniejącego porządku i uświęconej myśli ortodoksyjnych wyznawców Proroka, ujmując swoje wyznanie wiary w słowa:

„Jeżeli książki te zawierają to samo, co napisane jest w Koranie, są zbędne; jeżeli coś przeciwnego — są niebezpieczne.”

Od efeskiego Herostratesa i arabskiego kalifa biegnie prosta droga do hiszpańskiego mnicha Torquemady i jego słynnych „auto da fé”, powtórzonych za naszej pamięci w „kulturalnym” wieku XX u progu uniwersytetów i bibliotek gęsto rozsianych pomiędzy Odrą i Renem.

Jeżeli jednak wyznanie wiary Omara dokonane było przy imponującym widowisku pożaru Biblioteki, ofiary Torquemady, płonącej na stosie razem z dowodami swej „winy”, wypowiadały „auto da fé” przy odgłosach skwierczającej w płomieniach krwi i żywego ciała.

„Auto da fé” XX wieku odbywało się w takt wrzasków tłuszczy, uzbójonej w sztylety oraz emblematy nowej religii: krwi i aryjskości potomków germańskiego boga Wotana.

Niepomierna była radość w Walhalli i na ziemi, gdy dymy palonej myśli i zdobycze kultury były pod niebo, przysłaniając swymi mrokami tragedię zdziczenia człowieka i wyprania jego ducha z uczuć człowieczeństwa.

Na pochwałę własną możemy powiedzieć, że nie tworzyliśmy w większym stylu historii na wzorach całopalenia krwi i ducha. Różnice zdań z kacerzami, wyłamującymi się z zasad dozwolonego myślenia i usankcjonowanego porządku, wyrównywaliśmy w sposób liberalniejszy. Rzeczpospolita szlachecka, która swą nierządnością tyle nagrzezyła przeciwko przyszłym pokoleniom, nie pozostawiła po sobie jaskrawych win nietolerancji i dławienia myśli ludzkiej. Jeżeli w historii swej mieliśmy okresy wzlotów i upadków, to zjawiska te związane były z istnieniem i wpływami wszelkich innych czynników wewnętrznych i zewnętrznych — najmniej jednak z pojęciem i systemem sprawowania funkcji policji nad uczuciem, myślą i wolą człowieka. Poza instytucjami natury polityczno-prawnej, które w kraju — jak zresztą w całym świecie ówczesnym — przytłaczały klasy społecznie i gospodarczo upośledzone, historia nasza nie utrzymała na swych kartach zjawisk herostratesowej beznamiętności i rozpasania ciasných umysłów.

Rzecz oczywista, że w społeczeństwie żywym zawsze istnieją i nie mogą nie istnieć różnice poglądów i kierunków myśli twórczej. Często niezależność działania dla jednych stwarza na biegunie przeciwnym ciasnotę i oziębienie klimatu dla innych. Ale jak w przyrodzie jest wszystko płynne i w ruchu, tak w stosunkach ludzkich i społecznych nie wolno budować tam, które tworzą ruch myśli, przekonania i dociekań, ich rywalizację i wzajemne przenikanie się mogłyby w sposób sztuczny i mechaniczny hamować.

Mamy poza sobą wyroki historii, wydane na niedomaganie i błędy okresu międzywojennego, przeżywamy dzisiaj rewolucyjną lekcję przedstawiania wartości i twórców, które nadają się już tylko do lamusa historii jako prze-

Franciszek Fenikowski

NOC na Moście Chwaliszewskim

Krzyż na moście, a w dole skut parę
w mgieł ciemnie rozpląsanym srebrze,
Czarna rzeka pod mostu filarem
drżące usta rozchyła i żebrze.

A latarnie z nurtem się szamocą
noże w toń wbijając. Drżą wiry.
Szłocha rzeka jak żebraczka nocą
przez pokraczne mordowana zbiry.

Ani Paryż to, ani Sekwana,
Notre Dame nie strzela nad Ostrów,
ale cienie snują się do rana
przez ten dziwny, najdziwniejszy z mostów.

Tak. Ma Poznań swoją poezję,
choć za dnia nie o tym nie wie
Warta nocne bełkoce herezje
tu przy moście, na Chwaliszewie.

Każdy dom tu jak bazylipek
w ciemność ślepią wbija zielone,
gdy nadchodzi magister Franciszek,
co w Paryżu zwan był Villonem.

Kiedy, jeśli już o tym mówim,
idzie mistrz Ildefons, a zwłaszcza,
gdy przystaje tu Julian Tuwim
z rękoniem w kieszeni płaszcza.



Rys.: Ludomir Kapczyński

Szkuły drzemią w cieniu nabrzeża,
dźwigi w szal mgły owiły swe szyje...
Ku tumowi Jan Sztaudynger zmierza,
w podniesiony koinierz twarz kryje.

Potem tańczą tu dziewczki i zbiry,
rybaltowie poznańscy wykłeci,
leca kłatwy i noże i liry
w rzece wiry, w lśniące kręgi rłeci.

Poznań chyłkiem ku rzece się zbliża
zaskuchany w grzesznej nocy echa.
Tańczą cienie na moście, a z krzyża
Tuwimowski się Chrystus uśmiecha.

